

Kronika tygodniowa.

Skończyły się upały, z nimi i kanikuła.

Gdyś w ubiegłym tygodniu spotkał na ulicy lub plantacjach któregoś z rozszerzonych, ale zarazem i wydekoltowanych Krakowian, na zapytanie, co porabia, odpowiadał:

— A cóżby? Pocę się!

Nic w tem ostatecznie dziwnego, gorąco panowało tak dokuczliwe, że szczęśliwym mógł się nazwać ten, kto nie potrzebował opuszczać mieszkania, jeśli zaś już wyszedł, kierował swe kroki ku najbliższej knajpce i tutaj chłodził się pilznerkiem z lodu. Krakowskie handelki są po większej części sklepione, upał nie daje się też we znaki tak, jak na przykład w mieszkaniu, gdzie, choćby nawet pootwierał wszystkie okna, trudno było wytrzymać.

W bieżącym tygodniu temperatura się obniżyła, mój termometr spadł aż na podłogę i rozbił się w drobne kawałki, zaraz się też domyśliłem z wrodzoną mi przenikliwością, że coś będzie...

I miałem rację. Mamy wojnę.

Dziś, choć chłodno i koszuła *à la* Słowacki poszły już w odstawkę, jeśli spotkasz znajomego na ulicy, zapytaj go, co robi, a on ci odpowie z pewnością:

— Pocę się!

— Chyba nie z gorąca?

— Naturalnie!

— W takim razie ze strachu...

— Bardzo przepraszam! Proszę mnie nie obrażać! Nie ze strachu, z ostrożności!

— Teraz to już ja jestem, jak tabaka w rogu!

— Zaraz kochanemu panu wytłumaczę! Otóż ja się właściwie boję, ale jeśli sam jestem w strachu, to się nazywa tylko ostrożnością, gdy zaś boi się kto inny, to już jest strach, a nawet tchórzostwo!...

Przyznałem mu rację i wobec tego obaj razem pociągnęliśmy „na bombkę“, bo gdzież można swobodniej gwarzyć o polityce, jak nie w knajpce, gdzie schodzą się znajomi, którzy z całego miasta znoszą różne, nieraz zupełnie z prawdą rozmiągające się wiadomości, ale tak smacznie podane, iż, choćbyś był świętym Tomaszem, musisz uwierzyć i kolportujesz je dalej, zmienione przecież według własnego upodobania.

Najważniejszego z polityków w zwykłym miejscu nie zastałem, gdy zaś zapytał:

— Panie Władysławie, a gdzie pan radca?

— Oho! Pan radca chory! — odpowiedział.

— Czy coś poważniejszego?

— Nie! Pan radca zakisł sobie kiedyś ogórki, a gdy się dowiedział z ogłoszenia, że każdy obywatel na wypadek wojny obowiązany jest do świadczeń dla wojska, zjadł je wszystkie, bojąc się, by ich dla armii nie zabrano...

— No! To jeszcze nic niebezpiecznego! Przy pomocy olejku rycynowego doprowadzi łatwo do równowagi!

Głównym tematem rozmów naturalnie wojna.

— Panowie! — mówił jeden ze „sztangastów“ — ja was zapewniam, że wojna będzie, albo może i obejdzie się bez niej! Zobaczycie, że spełnią się moje słowa, bo ja się nigdy nie mylę w tych rzeczach. Ja, jakby to powiedzieć, trzymam rękę na pulsie europejskiej polityki, że niech się Berchtold schowa!

— A jeśli będzie wojna, któż zwycięży? — pytał ciekawie jakiś mniejszego kalibru polityk.

— Hm! Jeśli będzie?... To się jeszcze nie da powiedzieć!... W każdym razie albo jedna, albo druga ze stron wojujących...

— Ale która?

— Tego nie mogę powiedzieć! Mogliby mnie za to skonfiskować! Pan wie, że teraz przepisy policyjne są bardzo obostrzone, nawet na noszenie parasola trzeba mieć specjalne pozwolenie!

— Co też pan plecie!...

— Ależ, jak Boga kocham! Mówił mi jeden woźny z magistratu! Słyszał na własne uszy...

— E... To nic, moi panowie! Jeśli deszczu nie będzie — dowodził drugi — to bez parasola się pan obejdzie, gorzej jednak, że mają ograniczyć, a może nawet zastanowić ruch na kolejach!... Będziemy musieli pić krakowską lurę, bo pilznerka nie będzie!

— W takim razie każdy przezorny gospodarz powinien zrobić zapasik na czas krytyczny...

Długo i szeroko zastanawiało się szanowne zgromadzenie nad tem, kto ponosi właściwą winę tej wojny, która, albo będzie, albo obejdzie się bez niej i wreszcie zgodzono się na wywody pana radcy (tak się nazywa, bo sam sobie radzi, jak umie, co pra-

wdą, nie zawsze skutecznie), że winę ponosi pani de Thébes.

— Proszę, przeczytaj pan „Kuryerka“ — tak rozpoczął — tam stoi, panie, jak byk, czarne na białem. Zapowiedziała na rok 1914 wojnę z powodu zgubnego współdziałania Marsa i Saturna...

— A kto to ten Saturn? — zapytał nagle ktoś z końca stołu. — Czy także profesor akuszerki?

— Skądże znowu! To przecież planeta...

— No... ale Mars, to chyba profesor. Znam go przecież. Gdy moja żona chorowała przed laty, wzywałem go do niej, był wtedy w Krakowie, na klinice.

— Tak! Ale ten Mars, o którym „Kuryerek“ pisze, to także planeta... A jak ona to ładnie powiedziała! Proszę posłuchać: „Osiągniemy szczyt największego zła, najdonioślejszych decyzji...“

— Aha! Pewnie miała na myśli, że w Krakowie brakuje pilznera... — przerwał jeden ze słuchaczy i chwycił gorączkowo za bombkę, by korzystać z darów Bożych, póki jeszcze są.

— Cicho tam! Dalej mówi tak: „Szczęśliwy rok dla tych, których serca biją dla wielkich i zbawczych ideałów, pomimo wszelkiej krwi, wszelkich łez. Chwalebny rok pomiędzy chwalebniemi laty przeszłości, rok niezgody, po którym nastąpi zgoda, rok nienawiści, której miejsce zajmie miłość, rok rozdwojenia, po którym nastąpi połączenie się europejskich i zamorskich narodów“... A co? Czy ona to nie pięknie wy kalkulowała?

— Niby pięknie — odparł na to sąsiad prelegenta — bo akurat ani słowa z tego nie rozumiem. Gada o jakiejś tam miłości, a gdzie nam tam, panie święty, w tym wieku miłość w głowie! Ot, lepiej napijmy się. Niech tam, kto chce gada, ja tam wiem, że, gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła! Żeby nie ta przeklęta Francuzica, toby wojny nie było... Panowie! Na pomyślność! Jakby, panowie tego, do czego przyszło, staniemy, jak jeden mąż, ale na razie nie kłopotymy się, będzie na to później dość czasu!

Załatwiwszy w ten sposób sprawę, kto jest winien, że wojna może być, przystąpiono do drugiego punktu porządku dziennego. Ale radzono już nie tak ochoczo, nosy pospuszczano nawet na kwintę.

Zabrał głos jeden z ojców miasta:

— Ba! To wszystko nic! Ja się tam wojny nie boję, choć prochu nie wahałem dotąd... Gorsze, że nasze baby gotowe zjechać wcześniej ze świeżego powietrza. Szkoda zaś pieniędzy, bo człowiek z góry zapłacił czynsz za mieszkanie przez dwa miesiące, a tego nie wróci. Zresztą, przyznam się, że jakoś swobodniej czułem się przez te kilka tygodni, gdy mojej starej w domu nie było...

— Oj! To prawda! — potwierdził drugi i westchnął. — U mnie jest tak samo!...

— Pocóżby miały wracać?... Przecież bab nie będą brać do wojska. Ja swojej napisałem, żeby siedziała na wsi dalej, bo w Krakowie będzie tylko zawadzać. Nie wiem, czy usłucha, ale dałby Bóg...

Od tej chwili, gdy poruszono tak drażliwą kwestię, wesołość opuściła biesiadników, jeden z nich tak nawet melancholijnie zapatrywał się na to życie, iż zauważył:

— A możebyśmy tak kropnęli czarnego piwa?... Władziu! Trzy portery!...

Ale Władzio właśnie nie miał czasu, gdyż w kącie czytał wiadomości z placu boju, które nadesłał specjalny korespondent, siedzący stale w Krakowie i nie wybierający się nawet za rogatki, wobec tego wyręczył go sympatyczny Miecio, który z takim zapalem odkorkował butelki, iż strzeliły, niczem prawdziwe haubice. Obudził się nawet pewien staruszek emeryt, drzemający spokojnie przy stoliku.

— Ha! Mamy więc pierwsze strzały!... Jak wojna, to wojna!... Na zdrowie!...

Wtem stało się jednak coś nadzwyczajnego... Do lokalu weszły trzy niewiasty, odziane jeszcze w kostiumy podróżne...

We mnie i dwu mych towarzyszy jakby piorun uderzył... były to nasze rodzoniusienki żony...

— A wy tu poco? — zawołaliśmy jednogłośnie.

Moja, jako, że to kobieta wymowna, zabrała głos w imieniu wszystkich i rzekła:

— W tak poważnej chwili nasze miejsce przy waszym boku. A gdyby cię tak powołał? Któż potrafi cię tak wyekwipować, jak nie własna żona?...

— Oho! — odparłem. — Takbyś się mnie prędko chciała pozbyć? Nie chyci...

Druga z owych trzech Gracy, bardziej może energiczna, widząc swego małżonka przy szklance porteru, zauważyła z przekąsem:

— Ty stary pijaku! Na portera, to masz, a gdy ci pisała, że potrzebuję pieniędzy na nowy kapelusz, odpowiedziałeś, że ciężkie czasy... Poczekaj! Już my się w domu rozmówimy!

— Będzie wojna! — mruknął pod nosem pe-

wien stary kawaler i spojrzał ze złośliwym uśmiechem na czułą parę. — A mówiłem mu, aby się nie żenił, nie chciał jednak słuchać...

Cóż było robić, wobec energicznej postawy naszych pań, uznaliśmy zgromadzenie za rozwiązane przez władzę domową i rozeszliśmy się w spokoju, kilku *solo* (szczęśliwi!...), my trzech w towarzystwie naszych aniołów stróżów.

Ponieważ urzędownie zabroniono ogłaszania wszelkich wiadomości wojennych, nie powiem, co się działo w domu u mnie i u mych dwu towarzyszy niedoli. Radzę tylko tyle dla przestrogi słomianych wdowców, by codziennie porządkowali należycie swe mieszkania, nikt bowiem nie jest pewny ani dnia, ani godziny. A nuż wróci niespodzianie ich połowice?

A ile ja miałem kłopotów, tego nikt nie pojmie, chyba... jeśli był przypadkowo w tem samem, co i ja położeniu. Wiecie zaś Państwo, o co poszło?... O głupią podwiązkę, którą moja stara znalazła na podłodze. Kto ją mógł zgubić, tego sobie nie przypominam, przypuszczam nawet, że podrzuciła ją ona sama, aby w ten sposób wypróbować swego małżonka, a nuż się złapie?...

Oho! Ale ja jestem stary wróbel i na plewy wziąć się nie dam. Gdy mi pokazano *corpus delicti*, ruszyłem ramionami i rzekłem obojętnie:

— Albo ja wiem!

— Widocznie, stęskniony po odejście żony, przyjmowałaś tutaj damskie odwiedziny!

— Ja?

— No niby któż?...

— Stanowczo nie!

— Któż więc w takim razie ją zostawił. Sądzę, że chyba ty nie nosisz jedwabnych podwiązek z kokardami...

— A może stróżka zgubiła?

— Daj spokój, nie kręć! Stróżka ma lat sześćdziesiąt i nie jest wcale w pretensjach... Radzę ci, przyznaj się...

— Jakże mogę się przyznawać do czegoś, czego nie popełniłem?

— Nie chcesz?... Ja ci jednak powiadam, że się dowiem, choćbym miała nawet wypożyczyć sobie z policyi Aided... Ona mnie już zaprowadzi!

I od tej chwili ogłoszono mi zawieszenie konstytucji domowej (której *de facto* nigdy nie zasnęłam, gdyż moja stara rządzi zawsze absolutnie) i zaprowadzenie stanu wyjątkowego, to jest, iż bez pozwolenia nie wolno mi się ani na krok ruszyć. Na wszelki wypadek skonfiskowano mi buty, mogę chodzić tylko w pantoflach, chyba, że obowiązki powołują mnie na miasto. Wówczas żona wydaje mi z domowego arsenału (t. j. szafy) trzewiki, każdorazowo za rewersem...

Życie wobec tego tak mi obrzydło, iż zdecydowany jestem kupić sobie u Arona Gajera całkiem prawdziwą armatę i wyjechać na wojnę prawdziwą, która jest jeszcze niczem w porównaniu z domową. Stamtąd, jako specjalny korespondent wojenny, o ile naturalnie nie legnę od kuli nieprzyjacielskiej, bo i to nie jest wykluczonem, nadsyłać będę jedynie autentyczne wiadomości.

Gdyby mi jednakowoż żona nie pozwoliła na wyjazd i tak będę miał sprawozdania z pola walki, wprawdzie nie na własnym drucie, ale przy pomocy nożyczek, więc nie omieszkam podzielić się niemi z P. T. Czytelnikami, żądnymi za szesnaście centów, czyli trzydzieści dwa halerze, różnorakich sensacyj.

Franciszek Martin, Kraków

Rynek gł. L. 6 (Szara kamienica)

poleca: bieliznę męską białą i kolorową, krawaty, skarpetki, rękawiczki, szelki, chustki do nosa, trykotarze w wielkim wyborze po nader niskich cenach.

Cenniki darmo i oplatnie.

